



*Juliusz Słowacki*

# O Janku-szewczyku

Było sobie niegdyś w szkole  
Piękne dziecię; zwał się Janek.  
Czuł zawczasu Bożą wolę,  
Ze starymi suszył dzbanek.  
Dobry z niego byłby wiarus,  
Bo w literach nie czuł smaku;  
Codzień stary bakalarus  
Łamał wierzby na biedaku —  
I po setnej, setnej próbie  
Rzekł do matki: „Oj kobieto,  
Twego Janka w ciemię bito,  
Nic nie wbito — weź go sobie!...”  
Biedna matka wzięła Jana,  
Szła po radę do plebana;  
Przed plebanem w płacz na nowo.  
A księżulo słuchał skargi  
I poważnie nadął wargi,  
Po ojcowsku ruszał głową.  
Wysłuchawszy pacierz złego:  
„Patrz mi w oczy!” — rzekł  
do żaka —  
„Nic dobrego! Nic dobrego!”  
Potem hożą twarz pogładził,  
Dał opłatek i piątką  
I do szewca oddać radził...  
Jak poradził, tak męczysko  
I zrobiło... Szewc był blisko..  
Lecz Jankowi nie do smaku  
Przy szewieckiej ślipac igle  
Djabel mieszał żółć w biedaku,  
Śniły mu się dziwy, figle;  
Zwyciężyła wilcza cnota,  
Rzekł: „W świat pójdę o piątku!”  
A więc tak, jak był — hołota —  
Przed terminem rzucił szewca  
I na strudze do Królewca  
Popłynął...

Jak do wody wpadł i zginął...  
Matka w płacz, łamała dłonie;  
A ksiądz pleban na odpuszcie  
Przeciw dziatkom i rozpuszcie  
Grzmiał jak piorun na ambonie;  
Wkońcu dodał: „Bogobojna  
Trzódka moja, bądź spokojna:  
Co ma wisieć, nie utonie”.  
Mały Janek gdzie się chował  
Przez rok cały, zgadnąć trudno,  
Wsiadł na okręt i żeglował  
I na jakąś wyspę ludną  
Przypłynawszy — wylądował...  
Ówdzie król przechodził drogą;  
Jaś pokłonił się królowi  
I dworzanom i ludowi;  
A kłaniając szastał nogą  
Tak układnie, że król stary  
Włożył na nos okulary.  
I wnet tymże samym torem  
Dwór za królem, lud za dworem,  
Powkładali szkła na oczy...  
Owóż król ten posiadał sławę,  
Jakoby miał wzrok proroczy  
I choć stracił oko prawe,  
Tak kunsztownie lewem władał.  
Że człowieka zaraz zbadał,  
Na co mierzy, na co zdatny;  
Czy zeń ma być rzadca kraju,  
Czy podstoli, czy też szatny...  
Lecz tą razą wbrew zwyczajowi  
Król pan oczom nie dowierza,  
Czy żak Janek na tancerza,  
Czy na rzadcę dobry kraju?  
Więc zapytał: „Mój kochanku,  
Jak masz imię?”

(Dokończenie na str. 4—5)

# Stary zegarmistrz

Miał sklepik przy ulicy Grodzkiej, do którego się wchodziło z sieni, bo drzwi od ulicy były zabite i zastępowały okno. Okno to było popielate, matowe od grubej warstwy kurzu, na której spadająca z blaszanego dachu woda wyłobila podłużne smugi. Zielone firanki, także już wypelzłe od starości, zasłaniały dolną część okna. Czasem w dnie pochmurne i słotne — firanki te rozsuwały się nieco dla wpuszczenia więcej światła i wtedy przez brudne szyby widać było niewyraźnie, jak na kliszy fotograficznej, bladą twarz jakiegoś niemłodego mężczyzny z zieloną umbrellką na czole i lupą, osadzoną w oku. Zresztą żadnego innego ruchu.

Sklepik wyglądał zaniedbany, jakby tam nikt nie mieszkał, sztyd niewielki wgórze nie zwracał niczyjej uwagi. Ktoś obcy mógłby, Bóg wie ile razy, przejść około tego sklepu i nie domyśliłby się, że w nim mieszka zegarmistrz. Ale mieszkańcy Krakowa, szczególnie dawniejsi, wiedzieli o nim dobrze i do żadnego innego nie udawali się, szczególnie gdy szło o naprawę starych jakich zegarów z kunsztownym werkiem.

Pan Franciszek (takie imię miał ów zegarmistrz) wiedział dobrze o wszystkich antykach w mieście — byli to jego dobrzy znajomi — i jeżeli go wezwano do którego z nich, to witał się jakby z żywą istotą i przemawiał niby doktor do swego przyjaciela:

— Co ci to, przyjacielu? Pokaż-no, pokaz, jakoś teraz często niedomagamy. Starość nie radość!

I tu dopiero następowało rozbieranie pacjenta, opukiwanie i oglądanie pojedynczych części. Jeżeli choroba była cięższa i wymagała kuracji, to zabierał pacjenta do siebie, co się jednak rzadko zdarzało, bo najczęściej bagatelną jakąś poprawką restaurował napoczekaniu starszusków swoich czyto przez oczyszczenie zardzewiałej sprężyny czy usunięcie kurzu i nieczystości z pomiędzy trybów.

— Stare toto, to byle co temu zaszkodzi, lada pyłek zaleci do płuc i już kwęka

i chodzić nie może. No, próbuj-no, stary, teraz się ruszać.

To powiedziawszy, puszczał w ruch zegar, przysłuchiwał się nachylony jak doktor bicieju jego serca, rachował pojednostajność uderzeń, a gdy zegar począł wydzwaniać godziny, pan Franciszek z uśmiechem zadowolenia zwracał się do właściciela i odzywał się ucieszony:

— Już gada! Nic mu nie będzie teraz do samej śmierci.

Jakaś hrabina miała zegar z chronicznym defektem, a mianowicie, że jak zaczął gadać godziny, to gadał i gadał bez końca, dopóki nie wypaplał wszystkiego, a potem, kiedy trzeba było mówić dalsze godziny, mleczal jak mruk uparty. A że to był ulubiony jej zegar, pamiątka po dziadku jeszcze, więc udawała się o poradę do różnych zegarmistrzów po różnych miastach. Każdy radził po swojemu, robił starszuskowi różne operacje. Kosztowało to dużo pieniędzy, ale nie pomagało na długo i po jakimś czasie zegar starym zwyczajem wracał do swej wielomówności, która właścicielkę jego nabawiała bólu głowy.

Dowiedziawszy się przypadkiem od swojej znajomej o ukrytym talencie pana Franciszka, posłała jednego dnia do jego niepozornego sklepiku wygalonowego lokaja i wezwała go na konsylium. Stawił się o naznaczonej godzinie w swoim zielonym surduciku. Niepozorna mina jego niewiele budziła zaufania w właścicielce zegara i z lekceważącą miną opowiedziała mu chorobę swego ulubieńca.

— Pokażno, pani hrabino, tego gadułę! — rzecze pan Franciszek, nie zważając wcale na lekceważący ton i zadarty dogóry nosek hrabiny.

Lokaj przyniósł pacjenta. Pan Franciszek obejrzał go starannie, zachwycony jego poważną, starożytną powierzchownością, nakręcił i pociągnął za sznureczek. Zegar zaczął trzepać godziny z szybkością i zamiast dziesiątej odbił trzysta kilkadziesiąt godzin od jednego zamachu.

(Dokończenie nastąpi)



(Ciąg dalszy)

— Co się dzieje, Boże miły? Czy się mury zawaliły? Pełno pisków, pełno wrzasku od wieczora aż do brzasku. Już ten dom się trzęsie cały. Cztery szyby wyleciały!

Zebrała się wreszcie na piętrze przy składach dzieciaków z podwórka niemala gromada. Uradziły zgodnie:

— Tak już być nie może! Trzeba psu białemu nalożyć obrozę. Jak zamieszka w budzie z desek, zaraz się nam zwróci piesek. Jeść mu damy, pić mu damy, będzie nam pilnował bramy!

— Hau, hau, hau! — szczekał piesek. Sambym chciał budę z desek!

— Miau, miau, miau! — kot powiada. — Myszy robią szkodę w składach. Jeśli ja ich nie poskromię, wszystko zjedzą w całym domu. Zjedzą budę i psa w budzie. Co to będzie, dobrzy ludzie!

— Racja, racja, — mówią dzieci. — Od dziś zgoda niech wam świeci. Pies podwórka strzec nam musi, a kot niechaj myszy dusi. A my jeść wam damy dość: temu mleka, temu kość.

Od tej chwili była zgoda. Kot psu nawet łapę podał. Pies się wcale nie rozzłościł. Kot rozplakał się z radości.

I odrazu w jednej chwili wrogowie się pogodzili.

Wszystkie dzieci — małe, duże, dla uczczenia tego dnia zatańczyły na podwórzu piękny taniec: hop, sa, sa! I kot czarny i pies biały razem z nimi tańczyły.

A dla myszy w domu całym bardzo ciężkie dni nastaly. Kot je gonił dniem i nocą. Mało kiedy miał czas spocząć. Kiedy jedną złapał, zjadł, zaraz drugą chwycił rad. Chwycił czwartą, piątą, szóstą. Chwycił chudą, chwycił tłustą. Aż na pierwszym piętrze i na drugim piętrze wgnął wszystkie myszy i mniejsze i większe.

Upłynęło dni niewiele, spotkali się

przyjaciele.

— Co słyhać u ciebie? Hau, han? — pyta pies.

— Żyje się, jak w niebie. Miau, miau! Dobrze jest!

— Hau, hau! Wiesz, co ci powiem? Napiszmy o sobie powieść.

— Miau, miau. Napiszemy sami, potem dzieciom odezytamy. (c. d. n.)

Maria Kononczka

## W kuźni

Głos

Dalej, chłopcy, do roboty,

Dalej, dmijcie w miech!

W górę, w górę nasze młoty,

W górę śpiew i śmiech!

Niech tam sobie baby stare

Tak pracują, jak za karę

A w nas inszy duch!

Chór

Każdy kowal zuch!

Razem

Huku, puku! Huku, puku!

W naszej kuźni pełno stuku,

W naszej kuźni iskry świecą,

Nasze pieśni z niemi lecą,

Bo jest kowal zuch!

Chór

Nie wypuszczaj z ręki młota,

Choć na czole pot!

Póki w kuźni jest robota,

Niechaj bije młot!

Tylko stare niedolegi

Parzą palce o obcegi,

A ty stań za dwóch!

Razem

Każdy kowal zuch!

Razem

Huku, puku! Huku, puku!

Przy kowadle pełno stuku,

Przy kowadle człowiek żyje,

Serce w niersi rażno bije,

Bo jest kowal zuch!



Wyszedł Wojtek, wyszedł tato.  
Dłaboga, tatułu!  
Biedulina, kobiecina —  
do ścian się przytula.



Wejdźże Pyzo, siadź za stołem,  
pokrzep się,  
zostań w zimę na Kujawach,  
spocznij sei



Bóg wam zapłaci gospodarzu,  
Bóg mnie przywiódł do was!  
Lecz, gdy wiosną słonko błysnie  
pójdę do Krakowa.

# Jak Pyza



A tymczasem w chacie ciepłej,  
w ciszy śnieżnej zimy,  
o niejednym sobie społem  
pięknie pogwarzymy.

Juliusz Stronkowski

## O Janku-s

„Janek“.

Cóż ty umiesz?”

„Janku.

„Psom szyć buty“.

„A czy dobrze?”

„Oj, tatułu,

Czyli raczej panie królu,  
Jak szacuję ręczyć mogę.  
Że but każdy ostro kuty  
I na jedną zrobię nogę,  
Czyli raczej na łap dwoje...  
To na zimę. — Z letnich czasów  
But o jednym szwie wystróję  
Na opłatku bez obcasów;  
A robota takiej wiary,  
Że psy puszczają na moczary,  
Suchą nogą przejdą stawy“.

„Masz więc służbę, złotem płacę“ —  
Rzekł do Janka pan łaskawy  
I za sobą wiódł w pałace.  
A gdy dzień zaświtał czwarty,  
Szły na łowach w butach charty.  
A szewc chartów w aksamicie  
Przy królewskiej jechał świeciel

# wędrowała



Pośpiewamy stare piosnki  
o naszych wojakach,  
o wojenkach, o panienkach,  
o wędrownych ptakach.

(Dokończenie ze str. 1)

## zewczyku

Złoty order miał na szyi,  
W trzy dni został szambelanem.  
W sześć dni rządcą prowincyi.  
W dni dwanaście został panem  
Starą matkę wziął z chałupy,  
Król frejliną ją mianował,  
A plebana pożałował  
W biskupy . . .

**Juliusz Słowacki**

Juliusz Słowacki (1809—1849), jeden z największych poetów polskich, zasłynął jako najwybitniejszy pisarz dramatów, w których budził uczucia miłości Ojczyzny („Kordjan“, „Lilla Weneda“).

**Wiarus:** powiedz inaczej: — **bakalarus:** bakalarz, nauczyciel wiejski; — **żak:** uczeń; — **struga:** wielki statek; — **Królewic:** wskaż ten port nad morzem Bałtyckiem; — **szastać:** (nogą) robić szmer przy ukłonie; — **szambelan:** wysoki urzędnik dworski; — **frejlina:** dama dworska; — **pożałować w biskupy:** zamianować biskupem.



Jestem bardzo dzielna Pyza,  
lecz łatwo mnie wzruszyć,  
gdy śpiewają o żołnierzach —  
muszę chustki suszyć.



Gdy wieczorem w okno patrzę,  
zdaje mi się czasem,  
że wędruje dawny żołnierz  
polem, borem, lasem.



Gdy się wzruszę i rozmarzę,  
to spać się położę,  
w tej Kujawskiej pięknej izbie,  
w Kujawskiej komorze.

# Przygody zu

## BEJ

Na obwodzie koła rysujemy dla każdego z grających kółko. Są to dywany. Siedzi się na nich po „turecku”. O 10 kroków od nich są inne dywany ułożone w rzędzie. Jest ich o jeden mniej. W środku koła na swoim „dywanie” siedzi Bej, trzymając ręce na czole. Za nim stoi niewolnik wachlując pana (gałazką, czapką, czy chusteczką). Podwładni Beja trzymają prawice na sercach. Gdy Bej zdejmuje ręce z czoła, to mówi:

„Zdejmuję ręce z czoła —  
Wychodźcie wierni z koła!”

Wówczas „podwładni” zrywają się szybko i biegną na drugie dywany. Wobec tego jednak, że jest ich mniej, ktoś zostaje bez miejsca — i pozostaje „niewolnikiem”.

Dla ponownego oddania hołdu Bej zwołuje podwładnych słowami:

„Ręce klade na czole —  
Zasiadajcie hej, w kole!”

Następuje też wtedy i zamiana niewolników.

## DZIADEK

Dziadek skulonowidzie idzie postępując:

„Idę... idę... — puk! puk! puk! —  
i stuka laską.

„Dokąd to prowadzi Bóg?” —  
zapytają go chórem

pozostali. Wówczas dziadek kreśli bardzo powoli nazwę miejscowości laską w powietrzu. Zuch, który odczytał ją, mówi:

„Do Rygi może?”

i jeśli dziadek kiwnie głową przytakując, dokończy:

„Więc, szczęście wam Boże!”

Jeżeli zuchy odrazu nie odczytali napisu, dziadek kreśli po raz drugi i tak do trzech razy. Za czwartym razem kreśląc literę wymawia je głośno.

Zuch, który pierwszy odczytał miejsce podróży dziadka, zastępuje go i gra rozpoczynając się na nowo.

Za każdym razem nazwę miejscowości się zmienia.

## TCHÓRZ

Zuch, stojąc w kole, śpiewa, a z nim pozostali:

„Kto się boi pieska, świnki —  
Rahj takie śmieszne minki!”

poczem grą twarzy wyraża przestrach, czy zdziwienie, lub staje w pozycji obronnej, czy też udaje rozpaczliwą obronę. Pozostali go naśladują. Po nim do koła idzie następny.

Jest to ćwiczenie mimiki i zabicie lęku.

## BUCIKI

Dzieci siedzą w kole bez bucików, mając ręce założone do tyłu. Wódz podaje po kolei każdą parę bucików, a zuchy dotykkiem rozpoznają swoje pary. Śpiewają przytem:

„Ele — mele dudki —

Szukam swoje butki! . . .”

Właściciel, rozpoznawszy swoje buciki, stawia je sobie za plecami. Ci, których

## JAŚ SZÓSTKOWY

Jaś, szóstkowy zuchów, wracał wolno ze szkoły z przyzwyczajenia spoglądając na ślady. Koledzy o nim mówili, że lepiej umie czytać z ziemi jak z książki. Nazywano go więc „tropicielem”. Był dumny z tego.

Miał on istotnie dziwny dar rozróżniania śladów. Twierdził, że z nich można się zawsze czegoś dowiedzieć i wziąć udział w jakimś wydarzeniu niezwykłym.

Droga była fatalna. Przy tym silny wicher siał w twarz ostrym igliwem śniegu. A do domu całych dwa kilometry.

Wtem — Jaś się zatrzymał. — Uhu! — mruknął znacząco. — Ktoś chodził do lasu . . . Ale jakieś dziwne te ślady! . . . Nie mając żadnej „broni” prócz teczki z książkami, która mogła służyć jedynie za puklerz — nie poszedł za nimi. Rozsądek nakazywał mu być ostrożnym.

Idąc, znów na nie natrafił. Wychodziły już z lasu i przecinały szosę . . . Poczem — schodziły pod . . . przepust z cembrowin.

— Tu cię mam bratku! Na chwilę się jednak zatrzymał, ale ciekawość wzięła górę.

Początkowo zajrzał z daleka. Został wielce zdziwiony, dostrzegłszy kogoś siedzącego pod „mostem”, nie bacząc na takie zimno,

# chowe

buciki przewędrowały kolo nie odnalazły właściciela, jak również ci, którzy zatrzymali nie swoje buciki — otrzymują minusy.

## ZBOŻE

Wódz zapytuje po kolei zuchów:

„Nasze pole w jakie zboże  
Poszczycić się może?”

Pierwszy zuch odpowiada: „W żyto“.  
Drugi zuch po zapytaniu powinien powiedzieć nazwę poprzednią i swoją, trzeci o-  
bie nazwy i swoją, a czwarty trzy poprzednie nazwy i swoją — i tak dalej.

Jest to ćwiczenie pamięci i nauka przyrody. Który zuch się pomyli, otrzymuje punkt karny.

## ZUCHÓW — TROPICIEL

Podszedłszy blisko — z przerażenia się cofnął . . . Jakiś człowiek omotałszy nogi w lachmany siedział skulony. Głowa w dół opuszczona nie poruszyła się nawet. Przed nim leżało naręcze chróstu . . . Ze szklistych od mrozu oczy — powiało zimno . . .

Ogarnęło go straszne przecucie. Wszystko dowodziło, że stało się coś straszniejszego . . .

Nie czas było na inne domysły!

Trzeba sprowadzić ludzi . . .

Nigdy tak jeszcze nie biegł! Wpadł do domu, jak bomba.

— Co z tobą? . . .

Nie odpowiedział. Lecz ruch jaki uczynił był wymowniejszy od słowa. Zaczął całować ojca po rękach. Odsapnąwszy przemówił: — Tatku, tatku, tam leży człowiek . . .

Ubrał się ojciec, wziął kilku sąsiadów.. Przynieśli biedaka.

Odtarli . . .

Był to bezrobotny. Gdy nastąpił w miesiąc martwy sezon roboty, pozostał bez pracy. A więc bez dachu, chleba, odzieży. Dygocąc w zdartych letniakach wyruszył do domu — na wieś. I przykryły by go grudy ziemi cmentarnej, gdyby — nie zuchowe tropienie . . .

## ZUCH DOBRZE SIĘ CHOWA

Kto wyśledzi,

Gdzie zuch siedzi,

Gdy się skryje w las?

Hej, hej! Nie ma zuchal

Hej, hej! Niechaj szuka,

Kto chce, teraz, nas!

Nic dziwnego,

Bo dobrego

Daje uura — zuch!

Hej, hej! Nie rozmawia,

Hej, hej! A nadstawia

Oczy swe i słuch.

Puch śniegowy,

Czy dąbrowy

Kryje zucha liś,

Hej, hej! W każdym zuchu,

Hej, hej! nie ma ruchu —

Siedzi niby ryś.

## PATROL ZUCHOWY

Naprzód, hej! za nami

Cicho! Szeregam!..

Las wokół dzwoni,

Karabiny w dłoni..

Niebo się uśmiecha

Do zuchowej „wiary”,

Grają jakieś echa,

Świat wokół — bez miary.

Oczy w dale biega:

Czy nie ujrzą chtonie.

Ucho dźwięki chłonie:

W której to wróg stronie?

## ŚNIEŻNA WOJNA

„Tra, ra, ra, ra!” —

Naprzód wiara! —

Przyszedł na nas czas!

Hejże, żwawo:

W lewo, w prawo —

Strzelaj śniegiem wrazi!

bo zuch słynie

Zgodą — w czynie —

Wszędzie zuchem jest!

Dalej, śmalo

Hurmą całą!

Na bojowy chrzest!

## ZUCH NA NARTACH

Sunie, sunie po przestworzu

Długi zuchów sznur.

Po cudownym, śnieżnym morzu:

Szur, szur, szur, szur, szur..

Z wszystkich oczu radość miga

Żar nam bije z lic.

Czajem zając nas wyściga:

Kic, kic, kic, kic, kic..

Tańczy w polu zawierucha,

Goni w śnieżny kurz —

Wnet się chwytą zuch za zucha——

Przyjechali już!..

# HRABIĄTKO

(Dokończenie)

Oficer podniósł pałasz, zabrzmiała komenda.

Ale w tej samej chwili lufy drgnęły, strzały poszły dołem, kolumna się zmieniła. To flanki nasze, oskrzydliwszy piechotę, wyrzuciły się nagle ze zboża i z trzaskiem na nią wpadły. Mignęły w miodrem powietrzu szablą Różyckiego świetną błyskawicą.

— Bij, zabij!.. — huknął gromko i skończył w dół z koniem.

Runeliśmy za nim jak piorun.

Na dole wrzała bitwa. Piechota nieprzyjacielska formowała trójkąt w podbiegu i w zamieszaniu. Bębny, kwik koni, wrzask walczących głużyły komendę.

Nagle posłyszałem za sobą potężne rżenie ogra. Głos ten znaleźmy wszyscy. Cała walność, cała dawność rasy w nim była. Nic, tylko bojowa surma, gdzieś z pod kopyt jeszcze... Zwróciłem głowę.

W ogromnych szczupakach leciał ogier z Hrabiątkiem wprost na nas. Chłopiec w siedle schylony, blade, z rozwianym włosiem, wzrok miał pałający, pałasz wzniesiony wysoko nad głową. Ot nie, tylko święty Jerzy, kiedy w smoka godzi.

Przesadził niewielką przestrzeń, wparł się w nasze szeregi, miałem go tuż w pobliżu przez mgnienie.

— Ha!.. Ha!.. — zakrzyknął, prąc kolanami, i przeleciał wiehrem. Czapka spadła mu z głowy, pęd podwiał czerkieskę. Sokolątko dostało nagle ogromnych, pionawych lotów.

Już błysnął pałasz jego na frontowej linii. Otarł się ogier bok w rok o konia Różyckiego, złamał linję, wyniósł się przed nią i wprost na wroga leciał.

Błytało wzdłuż kolumny, huknęły strzały salwa.

Dym zakrył świat. Gdy opadł, ujrzałem znou i konia i jeźdźca.

Hrabiątko trzymało się grzywy, leżąc prawie na niej. Ogier rżał ogromnym głosem.

Nagle okrecił się, zawrócił i ku sztabowi pędził. Nianka odnosiła „detynę”. Prawie że u nóg Różyckiego spadło Hrabiątko z siodła. Krew buchnęła mu z piersi. Żył jeszcze.

Skoczył Różycki i jak dziecko na rękę go porwał.

Grały gdzieś dzwony na Anioł Pański, a nieprzyjaciel z niedobitkami daleko za rzekę uchodził, kiedy nasz pierwszy ochotniczy pluton szablami płytki dół dla Hrabiątko kopał.

Niejedna łza tam padła z tych twardej oczu w ziemię, gdyśmy go tak zobaczyli wyciągniętym, zmizerowanym do śmierci, w podziurawionej od strzałów czerkiesce. Pięć kul w piersi wziął, jak stary, dzielny żołnierz.

Różycki stał nad dołem, oczy w ziemię wbił i węża targał. Z dalekim głosem dzwonka mieszało się żalonne, przeciągłe rżenie..

## Nasze listy

### LIEPAJA

H. Bardowska. Za życzenia i piękną pocztówkę dziękuję. Wolałbym jednak, kochanie, dostać od Ciebie dłuższy list. Będę czekał. Myślę, że napiszesz. Oplatkiem, któryś przysłała, Krasnale podzieliły się przy wspólnej krasnalowej choineczce. Do następnego liściku, pa!

Zosia Jakowiczówna. Posłaliśmy Ci książeczkę i wydrukowaliśmy Twoje streszczenieko o wędrownkach Pyzy. Czy jesteś zadowolona? Bo my bardzo się cieszymy. Napisz nam, jak Ci się podoba ta książeczka „O Leniuchach - Lekkościach”. Czekamy, aż przyslesz dalsze rozwiązania z wyścigu sprytnych główek. Życzenia otrzymaliśmy, dziękujemy. Ściskam Cię i cauję.

### DUBULI

Nusia, Józek, Mik, Józia i Ziutek Łubginowie. Dziękuję za życzenia świąteczne. I nam święta minęły wesoło, choć u nas śniegu nie było. Ja dostałem „na gwiazdkę“ piękne gesie póro, żebyś miał czym pisać do Was liściki. A coście Wy dostali? Czy dużo macie teraz śniegu i czy jezioro zamarzło? Ściskam Was wszystkich, pozdrowicie Rodziców.

*Krasnal Długonogi*